Rok XXIV. We Lwowie, dnia 8. czerwca 1917. Nr. 23.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 13·— K.
półroczna . 7·— „
kwartalna . 3·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 54.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Ubi causa?

„Słowo straciło swą wartość. Znużyły nas te różne systemy i doktryny, te różne jałowe badania. Słowo straciło swą wartość od czasu, gdy nie zawsze za słowem następował czyn“. Tak pisał przed 50 laty człowiek, którego jedni nazywają filozofem, inni marzycielem.

Czasy obecne dodają dziwnej mocy zdaniu wyżej przytoczonemu. Jeśli kiedy, to właśnie dzisiaj najcudniejsze myśli, najdźwięczniejsze słowa, nie przyobleczone w czyn, rozsypują się. Najwspanialsze projekty nie zrealizowane błąkają się po rocznikach okrytych pyłem.

Jako stały czytelnik „Gazety Kość.“ zauważyłem, że na łamach dziennika naszego, w krótkim stosunkowo czasie, przewinęło się dużo projektów. Mówiono o założeniu Towarzystwa miłośników nauk teologicznych i o napisaniu księgi, którąby świadczyła o działalności księży w czasię wojny. Pisano o prasie katolickiej i o akcyi społecznej, o bibliotekach dekanalnych i o wyposażeniu wikarówek w przedmioty niezbędne. Ktoś rzucił myśl stworzenia domu „dla wielebnych bezdomnych“. Pisano o reformie śpiewu i o misyach, prowadzonych przez księży świeckich i w. i.

I przebrzmiały słowa!

A przecież myśli te, to nie bujanie po obłokach, to nie usiłowania idealistów. Zrodziła je oczywista potrzeba. Zauważono pewne braki, spostrzeżono rysy w budowaniu naszem — więc budzą się głosy, powstają projekty.

Ot chociażby ten ostatni X. Ratusznego „Duchowieństwo a sprawy liturgiczne“. Rzucona myśl niejako gwałtem krzyczy o prawo do życia. Bo czyż to nie przykre, czyż to nie upokarzające, że te dewocyonalia, te obrazy i obrazki, te książki do nabożeństwa, są w rękach ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z Kościołem? Czyż to nie boli, że grosz ludu naszego drobny, ale liczny płynie do kieszeni tych, którzy im „nie bardzo dobrze życzą“. Kwestya taka paląca, tak bardzo nas obchodząca — taka aktualna. A cóż do tej pory dla niej zrobiono? A przypominam, że myśl to nie nowa! Już przed wojną widzieliśmy złe i była o niem mowa w naszym organie. I cóż się stało? Tu i tam myśl pochwalono, ten i ów szepnął, że dobrze by było — gdyby — no i koniec.

Nie łudźmy się, że przyjdą życzliwi przyjaciele, którzy nam pomogą. Ci, co stoją po za Kościołem, mają swoje sprawy aktualne, do których spełnienia dążą konsekwentnie, planowo, nie rozdrabniając sił swoich.

Tamci dążą do celu z wzrokiem płomiennym, w którym przebija się umiłowanie i zapał dla myśli rzuconej. Tam troska o „udanie się“ sprawy bruzdami znaczy czoło, rozpala krew w żyłach, pcha i pobudza do czynu.

U nas inaczej! — Dlaczego?

Mówią, że nad rzekami babilońskiemi, z powodu nagromadzonego brudu i zgnilizny, unosiły się niezdrowe miazmaty. A każdy nieostrożny, który siadał nad brzegami, doznawał zawrotu głowy, wpadał w nurty i płynął z prądem, przypłacając swoją nieostrożność śmiercią. Zdaje mi się, że świat dzisiejszy podobny jest do tych rzek babilońskich, nad któremi unoszą się trujące bakcyle. I siadają ci biedacy nad brzegami, by odpocząć, by ochłodzić rozpalone czoła — ale zamiast ochłody doznają zawrotu głowy i odurzeni wpadają w nurty i płyną z prądem. Bo nie mają siły iść przeciw prądowi, bo wola ich skażona, bo słabe ramiona nie nawykłe do pracy, nie nauczone płynąć przeciw prądowi — opadają z omdlenia.

My z natury rzeczy należymy do tych, którzy nie chcą i nie mogą iść z prądem.

Gdzież jest powód, gdzie leży przyczyna, dla której myśli zdrowe, żywo nas obchodzące, nie przyoblekają się w szatę rzeczywistości?

Dlaczego słowa nasze — nie stają się czynem?

X. Struszkiewicz.

Towarzystwo im. św. Augustyna.

Gdyby po czasach dzisiejszych pozostały tylko statuty towarzystw, związków, programy stronnictw, bylibyśmy w bardzo szczęśliwem położeniu — sąd potomnych byłby o nas bardzo pomyślny.

Niestety — jak *pacta conventa* nie są źródłem historyi, lecz fakta, tak samo i nie statuty, nie programy organizacyi, lecz ich praca. Ciekawem byłoby zestawienie tego papierowego polotu z konkretnymi wynikami.

Mając to na uwadze, z pewną obawą bierze się do ręki statut nowego Towarzystwa o charakterze naukowo religijnym z siedzibą w Krakowie. Dotychczas mieliśmy „Związek katechetów“, który oprócz celów zawodowych ma i naukowe aspiracye, „Unio apostolica“ (dyec. tarnowska), „Kółko teologiczne profesorów“ (dyec. tarn.), które ma za cel naukowe wykłady i dyskusye. W Warszawie oprócz towarzystwa redakcyjnego Encyklopedyi kościelnej istnieje Wydawnictwo Biblioteki chrześcijańskiej, w Poznańskiem „Unitas“. Dla warstw inteligentnych mamy Sodalicyę Panów i Pań, wydającą własne pismo. — Poznańskie wydaje „Głosy na czasie“, podobnie jak i Galicya „Broszury o chwili obecnej“ przy „Przeglądzie powszechnym“. We Lwowie istnieje Bractwo św. Józefa o charakterze wydawniczym, Towarzystwo X. Piotra Skargi — w Krakowie Apostolstwo modlitwy z Intencyami, Głosami i. t. d. i. t. d.

Wszystkie te mniej lub więcej udałe próby pracy widocznie uznano za nie wystarczające, kiedy zakłada się nowe stowarzyszenie. Ma ono być według statutu jak gdyby zwornikiem dla wszystkich tych poczynań, punktem węzłowym dla najrozmaitszych rozgałęzień pracy religijno-naukowej. Stawia ono sobie dwa cele; 1. „rozpowszechnianie wśród wykształconych sfer społeczeństwa polskiego gruntownego wykształcenia religijnego“, 2. „pobudzanie do działalności na polu nauk teologicznych i im pokrewnych“.

Środki:

1. wydawnictwa książkowe ze wszystkich gałęzi nauk teologicznych i im pokrewnych;
2. wydawnictwa peryodyczne ze wszystkich gałęzi nauk teologicznych i im pokrewnych (nauka wiary i moralności chrześcijańskiej, historya Kościoła w Polsce, hagiografia polska, dzieje poszczególnych instytucyi kościelnych i. t. p.
3. udostępnianie osobom z odpowiedniemi kwalifikacyami naukowemi specyalnych studyów za pomocą udzielania stypendyów i zapomóg;
4. pobudzanie oryginalnej twórczości przez a) konkursy, b) premiowanie, c) zamawianie prac naukowych
5. udzielanie wskazówek i informacyi osobom, pragnącym pogłębić swe wykształcenie religijne;
6. kierowanie czytelnictwem treści religijnej;
7. zakładanie i utrzymywanie bibliotek;
8. urządzanie systematycznych konferencyi i wykładów;
9. wszelkie inne środki.

Mamy więc w tym programie wszystko. Wykonanie tego programu, choćby tylko częściowe, wiele braków usunie; ale też nasuwa się pytanie, kto to zrobi? Ilu potrzeba ludzi, by ten plan wykonać w jednem mieście, w jednej dyecezyi, w całej Polsce?...

Różnorodność celów i ich wielkość domaga się znacznej liczby pracowników, całego zastępu i to doborowego, a wymaga nietylko ludzi, ale i ogromnych wkładów pieniężnych, jeśli to się ma stać instytucyą poważną.

Współpracowników ściągnąć może nie tylko cel, ale i organizacya, bo może być ona ponętną, albo też zacieśnioną, udzielającą praw szerszym kołom, albo też nie. Jakąż jest organizacya Towarzystwa św. Augustyna? Z góry zaznaczam, że jest ona dość osobliwa. Członkiem może być każda osoba fizyczna i prawna, jeśli ją Zarząd przyjmie. Obowiązkiem jej płacić 10 k. rocznie, za co otrzymuje roczne sprawozdanie i wydawnictwa Towarzystwa w cenie odpowiadającej rocznej wkładce. Członkowie Zarządu, komitetu i poszczególnych sekcyi nie płacą wkładki i otrzymują wszystkie wydawnictwa bezpłatnie. Na czele Towarzystwa stoi Zarząd (5—9 osób); uzupełnia się przez kooptacyę. Z Zarządem współdziała komitet (30—50 osób) przez szerzenie wpływów Towarzystwa, zjednywanie nowych członków. Pierwszych członków komitetu mianuje Zarząd, resztę komitet kooptuje. Komitet zbiera się raz na rok na zaproszenie Zarządu i wtedy może kooptować nowych członków, uchwalać zmiany statutu, wybierać ze swego łona komisyę rewizyjną, przyjmować sprawozdania Zarządu i Komisyi rewizyjnej, uchwalać dla Zarządu dyrektywy, których tenże w miarę możności „powinien“ się trzymać. Na tem zebraniu mogą być i odczyty naukowe. Członkom Towarzystwa wolno przyjść na to doroczne zgromadzenie — które się w innych towarzystwach Walnem Zebraniem nazywa — mogą tam słuchać, patrzeć, mówić, nie mogą tylko głosować, nie mają też ani biernego, ani czynnego prawa wyborczego. Innemi słowy: Zarząd jest niezależny, nikt go nie może zmienić, ani usunąć, uwagi może mu wprawdzie robić komitet przez niego mianowany, do uwag tych jednak Zarząd n i e m u s i się stosować. Członkowie mają jedynie płacić wkładki.

Taki ustrój wpłynąć wprawdzie może na sprężystość Zarządu, nie potrzebującego oglądać się na głos ogółu, ale może też wprowadzić zastój w Towarzystwo, jeżeli Zarząd okaże się mało czynnym.

Nadto pozostają jeszcze trudności co do zyskania współpracowników. Brakowi temu można zaradzić siłami płatnemi — urzędnikami, którzy, pracując za wynagrodzeniem, będą więcej odpowiedzialni przed zarządem, aniżeli ochotnicy. Na to potrzeba jednak dużo pieniędzy. Może Towarzystwo, przyjmując i osoby prawne na członków, spodziewa się, że kapituły, klasztory przystąpią i z większymi wkładami, może nasza arystokracya — znana z katolicyzmu i ofiarności na cele publiczne — grosza nie poskąpi, by Zarząd ufny w swe siły mógł zorganizować sekcye, rozpocząć „wydawnictwa książkowe i peryodyczne ze wszystkich dziedzin nauk teologicznych i im pokrewnych“.

Nie potrzebuję dodawać, że każdemu z nas Towarzystwo tego rodzaju jest bardzo sympatyczne i że dalszy rozwój jego będzie nas żywo zajmował. Ale u nas już niejeden związek ładne wydrukował statuty, których nie zdołał wprowadzić w życie. Zwrócę uwagę tylko na dwa: na Towarzystwo im. Piotra Skargi i Tow. popierania pra-

sy katolickiej. Oba chcą podnieść piśmiennictwo katolickie, ale dotychczas zdziałały stosunkowo bardzo mało.

Oby losu podobnego nie doznało i nowe Towarzystwo ze swymi odczytami, biurem porady naukowej, zakładaniem katolickich bibliotek naukowych i wydawnictwami książkowemi, peryodycznemi, konkursami, stypendyami i. t. d. X. *Y. Z.*

Karczmy po wojnie.

Szczęśliwy człowiek, a stokroć bardziej szczęśliwy naród, który umie rozpoznać odpowiednią chwilę do działania i z chwili tej skorzystać. Są bowiem chwile przełomowe, zdarzające się raz na sto lat; wyzyskane przynoszą błogie owoce, przechodzące nieraz oczekiwanie, zaniedbane — mszczą się szeregiem szkód niepowetowanych.

Taką chwilą przełomową dla zasadniczej rozprawy z szynkami po wioskach i miasteczkach, to są obecne chwile zbliżającego się końca wojennych zapasów. Rządy jasno obecnie się przekonały, co znaczy dobrobyt ekonomiczny i moralna siła szerokich mas, lud zaś w czasie inwazyi i obecnie powoli zaczyna odwykać od szynków, tembardziej że szynki po wielu wioskach uległy zniszczeniu. Kiedy więc góra i dół skłonneby były do ustępstw, trzeba nam mieć czujne ucho sumienia duszpasterskiego i kuć żelazo, póki gorące.

Nie o małego wroga bowiem chodzi, ale o olbrzymiego polipa, który wysysa krew z największych i najdrobniejszych wiosek. Za wiele mamy w Galicyi szynków i dlatego za mało dobrych szkół, drzew owocowych, przytułków dla kalek i chorych, ochronek dla dzieci i bibliotek ludowych. Co dusza chłopka wyniesie rano dobrego ze sumy i kazania, to najczęściej idzie na marne popołudniu w szynku w tych wioskach, gdzie kwitnie masowe schodzenie się w karczmie. Widziałem np. we wschodnich Karpatach, że wszystko z cerkwi szło sznurkiem po nabożeństwie do karczmy. Co więcej — trunki wciskały się nawet gdzieniegdzie do czytelń, gdzie zaczynano wprawdzie od czytania, a kończono na piciu do późnej nocy. Nawet kramiki wiejskie, tak skądinąd pożądane, miały koncesye na trunki i rozpajały wieś nie gorzej od karczmarza.

Tak więc trunki szkodzą nie tylko jednostkom, ale grożą zatruciem wszystkim idealnym placówkom pracy po wioskach.

Środek przeciw pijaństwu, który posiadamy obecnie, tj. bractwo wstrzemięźliwości, wprawdzie czyni wiele dobrego, ale stanowczo zła, które grozi wioskom, nie może opanować. Trzeba oglądać się za drugim środkiem, może radykalniejszym, któryby wspierał skutecznie bractwa szczęśliwości i pozwolił rozwinąć się im do miary pożądanej.

Środek ten jest już wypróbowany w niektórych krajach półn. Europy, jak: Szwecya, Norwegia, Anglia, Finlandya, Rosya, a prócz tego prawie we wszystkich Stanach Półn. Ameryki. W krajach tych kwitnęło nagminnie pijaństwo, a w walce z niem środek nasz oddał niezaprzeczenie błogie skutki. Zdaje się, że i u nas po wojnie mógłby być zastosowany z dobrym skutkiem, pod warunkiem jednak, że duchowieństwo i lepsza część inteligencyi użyczy mu wybitnego poparcia.

Środek ten nazywa się „localis optio“ „miejscowe życzenie“. Polega on na tem, że w danej wiosce wszyscy pełnoletni mężczyźni i kobiety głosują, czy ma być w ich wiosce karczma z trunkami, czy nie, decyduje zaś prosta większość głosów. Konieczną jest rzeczą, aby i kobiety głosowały, gdyż one przeważnie głosować będą przeciw karczmie.

Potrzeba jeszcze u nas w Austryi, aby rząd nadał „lokalnej opcyi“ moc prawną, ażeby w tych wioskach, w których większość mieszkańców oświadczyła się przeciw wyszynkowi trunków, stanowczo niewolno było takich trunków sprzedawać ani w karczmie, ani w czytelni, ani w kramikach, a przestępców aby wolno było sądownie ścigać i karać.

O ile słyszałem, wielu z posłów ludowych Galicyi zachodniej jest za usunięciem szynków z wiosek; z pewnością i inne grupy poselskie użyczyłyby tej sprawie takiego poparcia, żeby projekt ten mógł nabyć mocy prawnej. Gdyby więc ta sprawa była na porządku dziennym, gdyby chodziło o zbieranie podpisów, lub inne poparcie tej sprawy, powinniśmy pospieszyć z wszelką pomocą, na jaką nas stać, gdyż „nostra res agitur“. „Ceterum censeo“ bowiem podźwignięcia naszych wiosek jest usunięcie z nich szynków i alkoholu. Uda się ta sprawa i daj Boże, aby za naszą główną pomocą, śmiało będziemy mogli zaświadczyć przed Bogiem, przed ojczyzną naszą i narodem, że tam, gdzie trzeba było pospieszyć z pomocą w ważnej, choć żmudnej sprawie, tam nas nie brakowało. Spełniliśmy obowiązek dobrego pasterza, który nie ustaje w pracy, aż zgnębi śmiertelnego wroga trzódki, powierzonej jego pieczy. A i lud ten nasz, któremu dopomożemy do swobodnego oddechu, ten olbrzym, trawiony i niszczony alkoholem, kiedy wypręży wolno ramiona, gdy oko jego duszy nie będzie zaćmiewane alkoholem i nędzą, z jakąż wdzięcznością myśleć będzie o tych, co mu dopomogli odwalić wielki głaz niedoli! A chociażbyśmy wdzięczności nie doznali, to i wówczas z serca pełnego lepszych tchnień od Ojca światłości powtarzać będziemy: „non nobis Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam“!

X. Raluszny.

Religia i kultura Persów.

(Dokończenie).

Odwieczny zaś wróg boga Anro-Majnjaw mieszka w ziemskiej przepaści. Czyni on stworzenia Ahura-Mazdy swoimi niewolnikami przez to, że je kusi i nakłania do grzechu (do niewierności, wątpienia, chciwości, a przedewszystkiem do kłamstwa), albo do zmazania się przez dotknięcie jakiegoś jestestwa nieczystego. On wlał truciznę w część roślin i jemu zawdzięcza ludzkość 4.333 (!) rodzajów chorób. Jemu służy sześć demonów podobnie jak bogu dobremu sześć „świętych nieśmiertelnych“.

Przed stworzeniem świata istniał „czas nieskończony“. Z niem zaczął się okres 12.000 lat. W przeciągu pierwszych 3.000 lat utrzymał Ahura Mazdah swoje stworzenie w stanie niemateryalnym. Okres ten skończył się z przebudzeniem Anro - Majnjawa, który spał do tego czasu. Mazdah

proponuje mu pokój, ale on nie zgadza się i odtąd ma między nimi toczyć się wojna przez 9.000 lat. Kiedy jednak Mazdah uderza go wszechmocną modlitwą „ahuna vairja“, ogłusza go i pozbawia przytomności na drugich 3.000 lat. W tym czasie otrzymują postać materyalną jestestwa, których pierwowzory istniały już w pierwszym okresie. Z początkiem siódmego tysiącolecia występuje znowu Anro-Majnjaw i zabiera się do dzieła zniszczenia. Zabija pierwszego byka i pierwszego człowieka, z których ciał powstają zwierzęta i ludzie.

Ostatni okres 3.000 lat rozpoczyna objawienie, użyczone Zarathustrze i nawrócenie króla Wisztaspa. W tym czasie ma przyjść szereg proroków, a na końcu prorok κατ' ἐξοχήν Astwatereta. Po upływie 12.000 lat dokona się zmartwychstanie ogólne, Ahura Mazdah zwycięży swego wroga, zniszczy go wraz z jego stworzeniami a wtedy nastanie nowy okres czasu nieskończonego.

Etyka Awesty jest, wogóle mówiąc, najrozumniejszą ze wszystkich, jakie wydał świat pogański. Wierni są obowiązani stanąć po stronie Ahura Mazdy, oddawać mu cześć i innym dobrym duchom, walczyć ze złem, postępować zawsze drogą prawą, chronić się nieczystości, cudzołóstwa, kradzieży, kłamstwa, wspierać ubogich, przyjmować gościnnie obcych, uprawiać rolę. Zabronione są posty i zadawanie sobie ciężkich udręczeń. Grzechy gładzi się dobrymi uczynkami, ale także skruchą i pokutą. Codzienny rachunek sumienia był nakazany. Do umierających wzywano kapłana, żeby im odczytał wyznanie grzechów i wlał im w usta lub w ucho napój nieśmiertelności „haoma“. Po śmierci otrzymują dobrzy należną im zapłatę w niebie, a źli w piekle; jeżeli zaś dobro i zło są w równowadze, dostaje się dusza do „hamestokan“, który da się porównać z czyśćem.

Są wprawdzie obok tych przepisów religijnych i moralnych inne, które musimy uznać za całkiem nierozsądne, niedorzeczne i śmieszne, jak np. ten, który każe używać w celu oczyszczenia się ze zmazy, spowodowanej przez dotknięcie trupa, uryny, a zwłaszcza krowiej; — ale pomimo tych swoich niedostatków mogła ta etyka utworzyć i utworzyła rzeczywiście silną podstawę, na której Medowie i Persowie wznieśli gmach swojego państwa. Były to narody dzielne i rycerskie, które ważne spełniły zadanie w dziejach ludzkości. Wielki ich monarcha Cyrus założył państwo, które sięgało od Indusu aż do morza egejskiego, w którem zetknęły się z sobą ludy Kaukazu z plemionami, mieszkającemi nad Jordanem, ludy indyjskie z Grekami, osiadłymi na wybrzeżach Azyi Mniejszej. Jemu powierzył Bóg według przepowiedni Izajasza ukaranie Babilonu i opiekę nad uprowadzonym w niewolę Izraelem: „To mówi Pan pomazańcowi memu Cyrusowi [1]), któregom ujął prawicę, abym podbił przed nim narody, a grzbiety królów obrócił i otworzył przed nim wrota (miast) a bramy nie będą zamknione. Ja przed tobą pójdę i zawołane na ziemi poniżę, wrota miedziane skruszę i zawory żelazne połamię. A dam ci skarby skryte i tajemności skrytych rzeczy, abyś wiedział, żem ja Pan, który mianuję imię twoje, Bóg Izraelów, dla Jakóba sługi mego a Izraela wybranego mego i nazwałem cię imieniem twojem... Ja Pan, a niemasz więcej, oprócz mnie niemasz Boga: przepasałem cię, a nie poznałeś mię, aby wiedzieli ci, którzy od wschodu słońca i którzy od zachodu, że niemasz oprócz mnie; Ja Pan, a niemasz innego, tworzący światłość i tworzący ciemności, czyniący pokój i stwarzający złość, Ja Pan, czyniący to wszystko“ (Iz. 45, 1—7). W rozdz. zaś 13-tym mówi Prorok o spustoszeniu Babilonu przez Medów: „Oto ja pobudzę na nie Medy“ itd. w 17); — a w rozdz. 44 tym o odbudowaniu Jerozolimy, które umożliwiła opieka Cyrusa: „To mówi Pan, odkupiciel twój i twórca twój z żywota: Jam jest Pan, czyniący wszystko,... który mówię Cyrusowi: Jesteś pasterz mój i wszystką wolę moją wykonasz, który mówię Jeruzalem: będziesz zbudowany, a kościołowi: będziesz założony“ (ww. 24—28).

Cyrus upatrywał w Bogu Izraela swego Ahuramazdę i odczuwał jakiś pociąg tajemniczy do religii narodu wybranego; postanowił więc zaraz w pierwszym roku po zdobyciu Babilonu spełnić to, co o nim przepowiedział Izajasz i wydał w r. 536 edykt, który przytacza Ezdrasz na początku pierwszej swojej księgi: „To mówi Cyrus, król perski: wszystkie królestwa ziemskie dał mi Pan Bóg niebieski i ten mi rozkazał, abym mu zbudował dom w Jeruzalem, które jest w Żydostwie. Kto jest między wami ze wszystkiego ludu jego? Niechaj będzie z nim Pan Bóg jego. Niech idzie do Jeruzalem, które jest w Żydowstwie, a niech buduje dom Pana Boga Izraelskiego (on ci jest Bóg), który jest w Jeruzalem. A wszyscy inni po wszystkich miejscach, gdziekolwiek mieszkają, niech go podpomagają mężowie z miejsca swego, srebrem i złotem i majętnością i bydłem, oprócz co dobrowolnie ofiarują kościołowi Bożemu, który jest w Jeruzalem“. Powrócili więc Żydzi do ojczyzny w liczbie 42.360 oprócz sług i służebnic, których było 7.337, pod dowództwem Zorobabela i arcykapłana Jozuego i zbudowali, po przezwyciężeniu różnych przeszkód, nową świątynię, ukończoną w r. 516 przed Chr., a w r. 445 wzniósł Nehemiasz na nowo mury, bramy i wieże Jerozolimy. Przez 200 przeszło lat zażywała Judea pod panowaniem perskiem pokoju i pomyślności. Większa jednak część Żydów pozostała w Persyi i w innych krajach, gdzie rozszerzali znajomość Boga i prawd przez Niego objawionych.

Pisarze starożytni chwalą bardzo Persów ówczesnych, ich prostotę, prawość i wytrwałość. Ksenofon (Cyrop I, 2) stawia rodakom swoim jako wzór perskie wychowanie młodzieży. Chłopców zapoznawano tam według niego głównie z zasadami sprawiedliwości. Przełożeni przez większą część dnia rozstrzygali spory między nimi, karali tych, którzy dopuścili się kradzieży, gwałtu, oszustwa, potwarzy itd. albo nie odwdzięczali się za otrzymane dobrodziejstwa. Uczyli także porządku, rozwagi, wstrzemięźliwości. Tak wychowywano chłopców do lat 16 tu lub 17-tu; potem zaliczano ich do młodzieńców; ci nocowali zwykle

[1]) W tekście hebrajskim: Koresz. Ponieważ prorocy nie wymieniają zwykle nazwisk osób, do których odnoszą się ich przepowiednie, więc zdaniem komentatorów Koresz albo nie jest tu i w rozdz. 44, 28 imieniem własnem, albo jest dodatkiem późniejszym. Inni, którzy wogóle uważają wszelkie proroctwa za niemożliwe, twierdzą że rozdział ten Izajasza, — a nawet cała część druga (cap. 40—66) przypisywanej mu księgi musiała powstać znacznie później, ale nie przytaczają argumentów przekonywających w obronie swej hipotezy (odrzuconej przez komisyę biblijną 29 czerwca 1908). Por. Kaulen'a — Hoberg'a „Einleitung in die heilige Schrift“ (wyd. 5 e 1913, str. 208 — 217).

przy gmachach publicznych a dniem używały ich władze krajowe do posług potrzebnych społeczeństwu. Starsi dawali im przykład rozwagi, panowania nad sobą i poszanowania władzy.

Ale te cnoty zatracały się coraz bardziej u Persów od czasu, jak zdobyli panowanie nad wielu innymi ludami. Królowie otaczali się niesłychanym dawniej przepychem, oddawali się rozkiełzanej zmysłowości, rządzili despotycznie, a poddanych zamieniali na tłum niewolników. To też nie mogli oni pokonać Greków pomimo ogromnej przewagi liczebnej swoich zastępów, a później zdobył Alexander Wielki bez nadzwyczajnych trudności potężne ich niegdyś państwo.

Religia Zarathustry miała wielu przeciwników w samej Persyi a jeszcze daleko więcej w Medyi, której ludność, podbita przez Irańczyków, była przeważnie pochodzenia turańskiego. Daryusz mówi w jednym ze swoich napisów, że magowie z Gaumatesem na czele postanowili religię swoją wprowadzić zamiast irańskiej i że on zburzył ich świątynie i ołtarze. Kapłani, nazywający się w Medyi „magami“, mieszali wyobrażenia religijne turańskie z irańskiemi, czcili bóstwa złe (Ahrimana), uprawiali sztuki czarnoksięskie, zabronione surowo przez Zarathustrę, którego nauka uległa też różnym zmianom. W drugiej połowie 7-go wieku Persowie, zwyciężeni przez wyznawców Mahometa, przyjęli prawie wszyscy Islam. Pewna ich część opuściła ojczyznę i osiedliła się w Indyach, gdzie dotąd żyją ich potomkowie (około 85.000) w wierze ojców w ścisłem odosobnieniu od Indusów i Muzułmanów. Nie grzebią oni, ani nie palą swoich zmarłych, żeby nie zanieczyszczać żywiołów przyrody, ale oddają zwłoki na pożarcie sępom, jak czynili ich przodkowie za czasów Herodota.

X. A. P.

Refleksye z podróży.

(Ciąg dalszy).

A dalej Rzym katakumb! Przyznam się, że niedawny „jubileusz Konstantyna“ wolałbym był nazwać „jubileuszem katakumb“; bo sławny edykt medyolański to pośrednio wprawdzie, ale prawdziwie owoc tej moralnej siły chrześcijaństwa, jaką rozwinęły katakumby. Gdyby nie Konstantyn, zrobiłby to, bo zrobić by musiał, jego następca, jeden lub drugi. Wartość moralna chrześcijan o tyle przerastała wartość pogan, że musiała ostatecznie tryumfować; jej to więc dzieło, jej zasługa i chwała! A imponuje nam ona tem bardziej, że to nie zwycięstwo organizacyi, jakiem było panowanie Rzymu nad światem, ale to naprawdę zwycięstwo cnoty w jednostce każdej z osobna; starożytność rzecz samą znała, ale w teoryi tylko, mówili o tem mądrzy jak Sokrates, Platon i tu i ówdzie jakaś garstka poszła za ich radą, ale w tych rozmiarach praktyka cnoty osobistej, skierowanie całego wysiłku wewnętrznego ku podniesieniu swojej wartości moralnej i to nie w dogodnych ku temu warunkach, ale wśród najsroższych prześladowań, z tem przeświadczeniem, że ta cnota zawiedzie nie do dostojeństw, ale na arenę, pod kły lwów i tygrysów; tego świat dotąd nie widział. I dla tego to Colosseum, dziś już szkielet tylko wielkiej budowli, odarty z świetnych marmurów i odarty, na hańbę tych, co to uczynili, z onego krzyża na środku areny, to Colosseum to istotnie „największa z pamiątek Rzymu, tytuł do „wielkości“ Miasta najzaszczytniejszy. Nie dziw, że nie gdzieindziej, ale tu właśnie nasz „poeta myśli“ Zygmunt Krasiński zrozumiał i odczuł istotę i potęgę religii Chrystusowej.

Rozumie on, że „historyą — jak sam mówi w Przedświcie — rządzi mądrość Boża i że celem jej jest ludzkość, czyli cała powszechność zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał.

Narodowości bowiem — według Krasińskiego — nie są same sobie celem, ale „środkami do celu wyższego.. czem nuty w akordzie, tem one w człowieczeństwie“. Ale też dlatego nie schodzi poecie z ust to potępienie zła, tj. pogwałcenia prawa Bożego, to ciągłe przypominanie, że moralna tężyzna, moralne zdrowie narodu to siła nasza, że

Tak do Polski, jak do Pana
Iść się musi drogą jedną,
Tą, co nigdy nie skalana.

Myśl ta, powtarzam, wyszła z rozumowania tego „poety myśli“, ale gdzież znalazł poeta jej silniejsze ugruntowanie, jeśli nie w Rzymie, w tem Colosseum, które tak cudnie opromienił blaskiem swej wzniosłej poezyi? Przyznam się, że w Rzymie mi szczególnie autor Irydyona staje na myśli; mam wrażenie, że żaden z poetów nie włoskich nie jest w tem Wielkiem Mieście tak „u siebie“ niejako, tak na swojem, właściwem sobie i jedynie godnem siebie tle. Jeżeli Francuzi nazywają swego Corneille'a „Wielkim“ — „le Grand Corneille“ — nie iżby był większym od Moliera czy Szekspira, ale iż lubuje się w postaciach wielkich i wielkich konfliktach duchowych, to poetą u nas, któremu ten sam tytuł w tem rozumieniu najgodniej przystoi, jest autor Nieboskiej i Irydyona. On także lubi wielkość w bohaterach i konfliktach: Hrabia Henryk czy jego przeciwnik Pankracy, a tem bardziej Irydyon i Masynissa, to postacie naprawdę „wielkie“ — plus grands que nature — tak samo konflikty, w jakie wpadają, czy mogą być bardziej „wielkimi“? I czy nie jeden Rzym godnem jest tłem dla takiego właśnie geniuszu? On też najlepiej „wielkość“ tego Miasta odczuł, tak, że dziś Polakowi nie mogą tam nie dźwięczeć w duszy te cudne strofy irydyonowe: „Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? Gdzie Westalka, wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu? Gdzie mówce twoi, panowie dusz tysiąców, stojący ponad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? Gdzie żołnierze legionowi bezsenni, ogromni...? Wszyscy zniknęli jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona. Nikt ich nie wydrze przeszłości!“

Ale nie tu koniec wielkości Rzymu: po Romie republiki, Cezarów i katakumb przychodzi Rzym papieży, któremu dziwi się Irydyon po przebudzeniu ze snu wiekowego: „To następcy Cezarów, to rydwan kapitolińskiej Fortuny“... Ten Rzym papieży będzie przez całe wieki kontynuował dzieło tamtego Rzymu, dzieło szerzenia kultury aż po „ultima Thule“; tylko podczas gdy Roma Ce-

zarów czyniła to bezwiednie, często mimo woli, jak one owady, co goniąc za własnem pożywieniem. a więc własnym zyskiem, roznoszą pyłek kwiatów w dalekie strony, przeciwnie ci nowi władcy Rzymu z całą świadomością i wzniosłą intencyą niosą w najdalsze krańce świata ziarno kultury moralnej przedewszystkiem, ale także ekonomicznej i intelektualnej; wszakże o mnichach średniowiecza trafnie powiedziano, że byli „karczownikami Europy". A jeśli te wieki nie są tak jasne, jakbyśmy je widzieć chcieli, to trzeba się jednak zastanowić, o ile mniej jasnymi by one były, gdyby nie było tego kulturalnego wpływu Kościoła.

Tak samo spytajmy się: jakby wyglądało Odrodzenie bez tego Kościoła, bez papieży, kardynałów, biskupów, z których jedni gromadzili arcydzieła literatury, drudzy sztuki, zachęcali pisarzy, artystów, nieraz bezpośrednie im dawali natchnienie. Wystarczy wymienić największego z mecenasów świata Juliusza II., który prawdziwie genialną intuicyą odgadł w Michale Aniele talent malarski, do którego sam artysta wcale się nie poczuwał, i skłonił go do stworzenia arcydzieł w Sykstyńskiej kaplicy, będących arcydziełami malarstwa. — Jeśli uznamy wielki wpływ sztuki na kulturę ludzkości, na to, cobym nazwał uduchownieniem, procesem wzniesienia się ponad materyę — a oprócz paru oryginałów, jak Rousseau, Tołstoj, nikt chyba na seryo temu nie zaprzeczy — to uznać musimy tem samem prawdziwie wielkie zasługi Rzymu papieży około tejże kultury.

I nie tylko to. Chrześcijaństwu sztuka zawdzięcza więcej, niż sami mistrze Odrodzenia i dzisiejsi sobie z tego sprawę zdają. Porównajmy tylko wyraz twarzy jakiejkolwiek rzeźby greckiej z tymże wyrazem u rzeźbiarza czy malarza nowożytnego. Jeżeli twarz jest obrazem duszy, życia wewnętrznego, jakże tego życia duszy mało w starożytnych dziełach w porównaniu z naszemi! To też ma się wrażenie, jakby rzeźbiarze greccy więcej artyzmu wkładali w linie torsu i członków aniżeli twarzy; dla Michała Anioła nie było nic piękniejszego nad tors starożytny, przechowany do dziś w jednem z muzeów rzymskich[1]). Jakże inaczej dzisiaj, od tegoż samego Michała Anioła poczynając! Czy w jego Prorokach albo Dyspucie Rafaela, czy w rzeźbach Canovy lub Rodina cała siła geniuszu, dusza obrazu nie spoczęła w twarzy właśnie? A czemuż to, jeżeli nie dlatego, że w człowieku nowożytnym to życie duszy, życie wewnętrzne jest intenzywniejsze, stokroć bardziej rozbudzone niż było w starożytności? A któż je rozbudził, jeśli nie boska nauka Ukrzyżowanego, przyniesiona przez onych rybaków galilejskich do Romy Cezarów? I dlatego to Rzym nietylko jako pamiątka wielkiej przeszłości klasycznego świata, jako skarbnica piękna najbogatsza w świecie, ale i jako stolica Chrześcijaństwa, stolica Kościoła pociąga ku sobie i umysł i serce, jedno i drugie odmładza, ożywia jako prawdziwa krynica najwyższego Dobra i Piękna.

[1]) Platon nam opowiada charakterystyczną scenę: kiedy Sokrates zachwyca się pięknem czyjemś, jeden z jego uczniów dodaje: „Oblicze jego jest bardzo piękne, nieprawdaż, Sokratesie? Ale gdyby zechciał się rozebrać, twarz nie wydawała by się już niczem, tak cały jego kształt jest piękny". (Cyt. Taine: Philosophie de l' Art. Paris 1903 T. II. str. 197).

Jeżeli przy wrażeniach, jakie daje dzieło sztuki, wielką rolę odgrywa subjektywne usposobienie widza, to cóż dopiero, gdy chodzi o piękno w przyrodzie! Wiemy z doświadczenia, że najpospolitsza okolica nabiera dla nas blasku wzruszającego piękna, jeźli z nią się połączy drogie sercu wspomnienie lat dziecinnych. Mickiewiczowi dolina kowieńska wydała się „najpiękniejszą w świecie;" z tego samego przywiązania, tylko że już nie do jednego zakątka, ale do całej ziemi ojczystej, wyszła ta pełna wdzięku swojska estetyka Pana Tadeusza, któremu brzoza wydaje się piękniejszą od cyprysu, a niebo polskie od nieba włoskiego. Inni znowu poeci, jeszcze bardziej subjektywni, widzą w naturze nie tylko jej zewnętrzny kształt, ale siłą się wniknąć w jej wnętrze — w jej duszę niejako, wczuwając się w nią i na odwrót nastroje z natury wchłaniając we własną duszę. Takim w malarstwie bywa Boecklin, a w poezyi między innymi nasz Słowacki. Ciekawy pod tym względem jest pierwszy monolog Kordyana, gdzie ta przewrażliwa natura poety melancholię własną zlewa z melancholią jesiennego krajobrazu, którego duszę tak subtelnie wyczuwa:

Ten staw odbite niebo w sobie czuje
I myśli nieba błękitem.
Ta cicha jesień, co drzew trzęsie szczytem,
Bo na drzewach liście truje
I różom rozwiewa czoła,
Podobna do śmierci anioła,
Ciche wyrzekła słowa do drzew: gińcie, drzewa!
Zwiędły — opadły
Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa;
Posępny, tęskny, pobladły
Patrzę na kwiatów konanie.
. . . .
Oto ja sam jak drzewo zwarzone od kiści,
Sto we mnie żądz, sto uwiędłych liści,
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłomy.
. . . .
Boże! Zdejm z mego serca jaskółczy niepokój...

(Dok. nast.). *M. Paciorkiewicz.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

W sprawie asygnowania płacy wikarym dochodzą nas znowu skargi, na które jest naszym obowiązkiem zwrócić uwagę władz: tak n. p. pod samą Białą, gdzie rezyduje obecnie c. k. Namiestnictwo, nie może doczekać się jeden z księży wypłacenia mu skromnej pensyjki rządowej. Czyż koniecznie każda taka sprawa nagląca musi „odleżeć się" przez kilka miesięcy między aktami kancelaryi?

Z Niemiec. Arcybiskupem w Monachium-Freising został mianowany biskup w Spirze Dr. Michał Faulhaber, jeden z najwybitniejszych książąt Kościoła w Niemczech, słynny mowca kościelny[1]). Urodz. w r. 1869 w Klosterheidenfeld (dyec. Würzburg), ukończył gimnazyum w Würzburgu, gdzie też w r. 1892 otrzymał święcenia kapłańskie i stopień doktora teologii. Przez 3 lata odbywał studya w dziedzinie patrystyki i egzegetyki

[1]) W r. 1913 zamieścił *Mies. Kat. i Wych.* wyborną jego konferencyę p. n. „My akademicy a Kościół"; — w r. 1916 poleciliśmy w Gaz. Kość. jego mowy p. n. „Waffen des Lichtes" (na str. 130).

w Rzymie. W r. 1903 został profesorem studyum biblijnego w Strasburgu, a w r. 1910 biskupem w Spirze. Klasyczne są jego listy pasterskie. Jest on także jednym z redaktorów „kazań polowych“, które wychodzą co tydzień, a przeznaczone są dla kapelanów wojskowych. Nominacyę jego powita niezawodnie cała Bawarya z radością.

Machiny do dzwonienia. W wielu nowych kościołach niemieckich wmurowano już, dla oszczędzenia sił ludzkich, osobne machiny, za pomocą których wprawia się dzwony w ruch, do czego jednak konieczne jest działanie prądu elektrycznego. Bliższych wiadomości o tych machinach dostarczają pisma, wydawane przez pracownię elektryczną Bokelmann i Kuhli w Herford.

Opactwo benedyktyńskie w Pannonhalma na Węgrzech. Starożytna prowincya rzymska Pannonia, położona na lewym brzegu Dunaju, należy obecnie do obszaru królestwa węgierskiego. Z rzymskiej nazwy Pannonia pozostał zaledwie ślad, a mianowicie jedno małe miasteczko przybrało tę nazwę, która w języku węgierskim brzmi Pannonhalma. Obok tego miasteczka wznosi się wzgórze św. Marcina, a na niem ogromem swej budowy panuje nad miasteczkiem i okolicą sławny na całe Węgry klasztor i kościół: to opactwo benedyktyńskie, zwane powszechnie „opactwem zwierzchniczem“ (föapatsag) w Pannonhalma.

Pod Ponnonhalma Karol Wielki pobił Awarów, a na pamiątkę zwycięstwa odniesionego wybudował na wzgórzu kaplicę pod wezwaniem św. Marcina. Od tej kaplicy wzgórze dziś nazywają „górą św. Marcina“. U stóp wzgórza osiedlił Słowian ze Slawonii. Św. Szczepan, pierwszy król węgierski, sprowadził tu zakon Benedyktynów i na wzgórzu św. Marcina zbudował klasztor i kościół w roku 1001.

Pierwszym opatem w Pannonhalma był Anastaz (996—1006). Prawie wszyscy mnisi, którzy wraz z Anastazym przybyli do Węgier, byli cudzoziemcami (Niemcy i Włosi).

Już za czasów opata Anastazego powstaje na wzgórzu św. Marcina, pierwsza szkoła na Węgrzech, z tego też klasztoru św. Szczepan wybrał biskupów dla nowoutworzonych dyecezyi węgierskich. Anastazego wysłał do Rzymu z prośbą o koronę królewską.

Po śmierci św. Szczepana poganie powstali przeciw katolikom i zniszczyli dopiero będące w rozwoju opactwo benedyktyńskie.

Królowie węgierscy: Endre I., Bela I., Salomon i Gejza poczęli opactwo odbudowywać, a dzieła tego dokonał św. Władysław. Za jego to czasów księża Benedyktyni wracają na wzgórze św. Marcina.

W okolice te zachodzili Tatarzy, niszcząc wsie okoliczne. Przed nimi ukrył się w klasztorze król Bela IV, który opactwu oddał z wdzięczności za udzieloną mu pomoc przeciw Tatarom twierdzę Szigliget i lasy i pola, rozciągające się nad jeziorem Balaton.

Król Ulaszló II. wysyła opata Tholnay Matet do papieża z propozycyą, by zezwolił na utworzenie w Pannonhalma „opactwa zwierzchniczego“, któremuby podlegały inne opactwa węgierskie. Wtedy Leon X. w r. 1514 przysłał bullę, którą podniósł opactwo w Pannonhalma do godności „opactwa wielkiego“ czyli zwierzchniczego. W r. 1593 klasztor, obwarowany i broniony przez Zapolyę, wodza węgierskiego, zdobywają Turcy i umacniają według własnych planów.

W r. 1597 książę Miksa odbija twierdzę Turkom i wprowadza napowrót Benedyktynów w ich dawne siedziby.

W r. 1638 opat Pálffy Matyas rozpoczyna pracę oświatową, zakładając przy klasztorze szkołę, a następca jego opat Magger I. Placid osadza po wsiach okolicznych księży i nauczycieli.

Za czasów opata Genesy Edyed w r. 1683 Kara Mustafa, wielki wezyr turecki; spalił klasztor, a ojców z ich siedzib wypędził. Po dłuższym czasie opactwo w Pannonhalma wróciło do swoich właścicieli, którzy starali się wykupić mniejsze opactwa, będące w posiadaniu osób świeckich. W czasach spokojniejszych Benedyktyni oddawali się pracy duszpasterskiej i oświatowej. Szkoła w Pannonhalma taką miała sławę na Węgrzech, że biskupi powoływali do seminaryów na profesorów teologii tylko księży, którzy ukończyli studya w klasztorze Benedyktynów.

Cesarzowa Marya Teresa odwiedzała często klasztor benedyktyński, a opata Medyesyego Somogyi Daniela mianowała członkiem Izby panów. Józef II w r. 1786 odebrane Jezuitom zakłady naukowe oddaje pod kierownictwo Benedyktynów w Pannonhalma.

W najnowszych czasach opaci odnowili zupełnie klasztor i kościół, wybudowali wspaniałą wieżę, uporządkowali bibliotekę, w której znajdują się najstarsze bulle papieskie, jakie pojawiły się na Węgrzech, listy, rękopisy i dzieła pierwszorzędnej wartości.

Obecnie opatem w Pannonhalma jest O. Hajdu Tibor.

Każdy opat w Pannonhalma nosi tytuł opata „wielkiego“. Do opactwa w Pannonhalma należą opactwa mniejsze: 1. Bakonyból, 2. Tihany, 3. Dömölki, 4. Zalavar. Pod zarządem OO. Benedyktynów pozostaje 26 parafii katolickich.

W Pannonhalma znajduje się szkoła wyższa, z której Benedektyni wysyłają własnych profesorów do zakładów średnich i wydział teologiczny. Słuchaczów teologii jest obecnie 23, którzy równocześnie odbywają studya filozoficzne.

Całe opactwo liczy 250 osób wraz z braćmi i nowicyuszami, księży jest 186.

Księża uczą w 6 gimnazyach: w Esztergom, Györ, Komarom, Köszeg, Papa, Sopron. Do tych gimnazyów uczęszcza 2,209 uczniów katolickich. W 20 szkołach ludowych uczy się pod kierownictwem OO. Benedyktynów przeszło 5 tysięcy młodzieży.

Biblioteka OO. Benedyktynów, sławna w królestwie węgierskiem, posiada cenne zbiory listów z XIII w. (1235 różnych listów i pism t. zw. „Liber ruber“).

W r. 1506 Benedyktyni mieli własną drukarnię, gdzie wytłaczali brewiarze dla zakonu.

Dziś biblioteka ich liczy do 100.000 różnych dzieł i broszur.

X. Pilin.

Bibliografia.

O. Władysław Szołdrski C. SS. R. **Święty Władysław Król Węgierski.** Kraków 1917 in 8° str. 132.

Niewielka rozmiarem, ale bardzo cenna pod względem treści i formy jest wymieniona książka. Lat 822 dobiega od zgonu św. Władysława, a choć za życia ścisłe węzły łączyły go z Polską, choć krew Piastów miał w żyłach swoich i tysiące Polaków i Polek ma go za swego świętego Patrona, życie jego prawie wcale nie jest u nas znane. Dobrze się więc stało, że O. Szołdrski ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów zabrał się do napisania jego. Na 9 rozdziałów podzielił Autor całą swą pracę, której główna treść tak się przedstawia. Bela I. w czasie zamieszek wewnętrznych na Węgrzech musiał uciekać i znalazł gościnny przytułek na dworze polskim Kazimierza Odnowiciela. Tu zaskarbił sobie szczególne względy u władcy polskiego i w nagrodę za okazaną waleczność podczas wojny polsko-pomorskiej otrzymał rękę siostry Kazimierza, a córki Mieczysława II. Imienia jej właściwego nie znamy, imię bowiem Ryksy, jak chcą niektórzy, nie ma podstawy w historycznych źródłach. Pierwszemi dziećmi z tego małżeństwa, które w Polsce światło dzienne ujrzały, były Gejza i Władysław, urodzony około r. 1046. Młody książę, wychowany przez matkę Polkę i ojca przychylnie usposobionego dla Polski, przywiązał się gorąco do naszego kraju i stał się, „jakby

rodowitym Polakiem z życia swego i obyczajów". Skoro się na Węgrzech uciszyło nieco, wezwano Andrzeja na tron Arpadów. Zaprosił on brata Belę I. do siebie wraz z żoną i maleńkimi synami: Gejzą i Władysławem w r. 1048. A pragnąc go jeszcze bardziej, jako dzielnego wojownika, dla swej sprawy pozyskać, oddał mu tytułem lenna komitaty, graniczące z Czechami, Rusią i Polską. Niedługo jednak Bela I. pozostał na Węgrzech, widząc bowiem, iż z powodu podejrzliwości króla Andrzeja niemałe niebezpieczeństwo zagraża jemu i jego rodzinie, wysłał do Polski żonę wraz z dziećmi. Tak więc św. Władysław ponownie stanął na ziemi polskiej, tym razem już nie na dworze Kazimierza Odnowiciela, lecz jego syna Bolesława Śmiałego.

Szczupłe ramy Gazety Kościelnej nie pozwalają opowiadać o dalszych wypadkach na Węgrzech. Krótko więc podaję jeszcze tylko tyle: dnia 25 kwietnia 1077 Gejza życia dokonał. Nadeszła chwila, w której św. Władysław miał stanąć na świeczniku Węgier i blaskiem swojej cnoty i swych zdolności przyrodzonych kraj ten opromienić. Ile zaś zdziałał dla dobra Kościoła i Węgier, jak tam rozkrzewiał chrześcijaństwo, zakładał stolice biskupie i opactwa Benedyktynów, mądre prawa nadawał, jak walczył z Kumanami i Pieczyngami, jak wreszcie 29 lipca 1095 świątobliwie życie zakończył, o tem z opowiadania O. Szoldrskiego, skreślonego źródłowo, jasnym i potoczystym stylem, więcej dowiedzieć się można. Kult św. Władysława istnieje nie tylko w Waradynie na Węgrzech, gdzie jego spoczywają zwłoki, ale także po innych krajach. Wyrazem tej czci jest katedra wileńska pod wezwaniem św. Stanisława biskupa i św. Władysława, wspaniała kaplica św. Stefana, Władysława i Emeryka przy katedrze w Akwisgranie, kościoły św. Władysława w Szydłowie i Iłży, przepiękne relikwiarze w kościołach katedralnych w Raab, Zagrzebiu, Ostrzychomiu i Wielkim Waradynie; prócz tego obraz świętego na Jasnej Górze, ornat, wykonany z płaszcza św. Władysława w katedrze zagrzebskiej, jego pomnik w Wielkim Waradynie, wreszcie postać świętego w zbroi rycerskiej na koniu, według sztychu w dziele Pawła z Krosna: Panegyrici ad divum Ladislaum 1509. Wszystkie te wizerunki, ładnie wykonane, zajmują umysł i zachęcają do czytania: Tolle et lege!

X. J. S.

Żelazowski Stefan ks. dr. **Istota katolicyzmu** opracował... proboszcz w Osuchowie. Warszawa. (1917). Nakład Gebetnera i Wolfa. 8-ka mała; str. 88.

Wojna obecna ma podobny charakter i podobne znaczenie dziejowe, jakie miały wielkie wojny przeszłości. Jak tamte, tak i obecna ogarnia liczne narody, porusza wszystkie stosunki międzynarodowe, wpływa na przeobrażenie nie tylko politycznych kierunków, ale umysłowych i moralnych. Kiedy więc ten niebywały w dziejach ludzkości huragan przejdzie, a ludzkość cała zabierze się do odbudowy zrujnowanych krajów, także naszemu narodowi przypadnie niepoślednia rola w ogólnem dźwiganiu się z tej nędzy zarówno materyalnej, jak i duchowej, w jaką go wojna wtrąciła.

Ażeby zaś tę nową budowę oprzeć na trwałych podstawach, trzeba przedewszystkiem posiadać dużo sił duchowych, zapewniających trwałość jej istnienia. Siły zaś te można zaczerpnąć bezsprzecznie nie gdzieindziej, jak w duchowem odrodzeniu naszem, wypływającem z doskonałego poznania i przyswojenia sobie ducha Ewangelii Chrystusowej. Ponieważ nie chodzi tu o obowiązki zwykłe, do których każdy chrześcijanin w każdym czasie stosować się winien, lecz obowiązki szczególniejsze, wypływające z konieczności dziejowych, przeto autor rozwinął je w broszurze omawianej, opierając się na książce „Le sens catholique" H. Cougeta.

„Obowiązki katolika" stanowią treść rozdziału pierwszego. Podniósłszy, że Kościół katolicki w stuletniej niewoli narodu naszego spełnia obok właściwego duchowego posłannictwa również misyę narodową, a w chwilach największej depresyi duchowej był ostoją, siłą i źródłem życia polskiego, podkreśla autor fakt, iż wspólne losy Kościoła i narodu wytworzyły pomiędzy nimi u nas, jak w żadnym innym narodzie, wyjątkowy stosunek, że nie było różnicy pomiędzy Polakiem a katolikiem. Ale chociaż Kościół katolicki był dla naszego narodu tem, czem matka dla swego dziecka, przecież stosunek nasz do Kościoła nie jest taki jakim być powinien.

Z wielu przyczyn należy podkreślić przedewszystkiem nie dość ścisłe zrozumienie, a więc i wypaczenie istoty katolicyzmu. Jest to rodzaj epidemii w mniejszym lub większym stopniu, ale objawiającej się stale, która bądź co bądź dokonuje pewnego spustoszenia. Osłabiliśmy istotę katolicyzmu najpierw w dziedzinie myśli skutkiem naszego stanowiska w stosunku do nauki objawionej. O ile bowiem jedni z nas w zbytniej gorliwości swej pojmują naukę tę bardziej surowo, niż Kościół tego wymaga, o tyle znów inni tłumaczą ją sobie podług swych pragnień i poglądów, a tem samem obniżają jej wartość i znaczenie istotne. Jedni zaś i drudzy znajdują się na błędnej drodze. Przecież nie dawno w „maryawityzmie" widzieliśmy umysły, usiłujące po swojemu tłumaczyć Objawienie i wyprowadzać z niego jakieś nowe wierzenia. Pod wpływem tego rodzaju dążeń można dojść do krańcowości, od której krok tylko jeden do herezyi. Umysły takich jednostek są do tego stopnia zbłąkane, że wszystkich inaczej myślących uważają za zachwianych w wierze.

W przeciwieństwie do takich jednostek inne pragną sprowadzić do minimum to, w co trzeba wierzyć. Posuwają się nawet tak daleko, że ustanawiają ścisły podział pomiędzy wierzeniami religijnemi a swymi poglądami naukowymi. Utrzymują więc, że aby być katolikiem, wystarczy przyjąć pewne poglądy, których nie można ani zrozumieć, ani też dowieść naukowo; dla pojmowania zaś i zastosowania w życiu innych twierdzeń religijnych zastrzegają sobie zupełną swobodę; urządzają też swoje życie tak, jak im najwygodniej. Skutkiem tego stają w przeczności z prawdą objawioną.

Podobny brak zrozumienia idei katolickiej spotykamy w dziedzinie czynu. Jedni bowiem chcieliby do tego stopnia utożsamić swoje poglądy i przekonania polityczno-społeczne z Kościołem katolickim, że usiłują, rzec można, wytworzyć z katolicyzmu siłę niepokonaną, któraby urzeczywistniła ich oczekiwania, nadzieje i marzenia. Inni znów, stojąc na wręcz przeciwnem stanowisku, żądają zupełnej niezależności, utrzymując, że religia jest sprawą wyłącznie osobistą. Krańcowości te nie tylko utrudniły wpływ powagi religijnej, lecz nawet do pewnego stopnia przyczyniły się do jej osłabienia.

Tymczasem ten tylko jest prawdziwym katolikiem, kto należy do Kościoła katolickiego nietylko przez chrzest św., lecz myślą, sercem, duszą, całem życiem swojem we wszystkich okolicznościach swego istnienia, kto przyjmuje całkowicie wszystkie obowiązki, jakie nakłada takie wyznanie wiary, kto wreszcie pozostaje w doskonałej jedności idei z Kościołem. Wszystko to, oczywiście, wymaga wiary nie tylko zewnętrznej, lecz głębokiej i żywej. Wierzyć zaś — to przyjmować naukę objawioną taką, jaką nam Kościół święty podaje. Niezbędna jest tutaj zupełna, niewzruszona i stała zgoda umysłu, do której dochodzimy przez takie wchłonięcie w siebie prawd bożych, iż uważamy je za nasze własne niejako, że stają się one jakby przekonaniami osobistemi, podstawami czynu, skutecznemi zasadami działalności. Ale wierzyć tak, jak wierzy Kościół, bynajmniej nie jest rzeczą tak prostą, jakby się zdawało.

Po rozdziale, traktującym o tem, co to jest „myśl katolicka", rozważa autor sumienie katolickie, mówi dalej o powadze w Kościele i zastanawia się nad stosunkiem Kościoła do swobód obywatelskich, poświęca wreszcie parę słów apostolstwu.

Praca X. Żelazowskiego nadaje się znakomicie na lekturę dla szerokich kół naszej inteligencyi. Poucza bowiem zwięźle i jasno, że powinniśmy zawsze przechowywać w sercach naszych ideały katolickie i narodowe i dążyć, aby one promieniowały na możliwie największe rzesze współobywateli, że powinniśmy czcić i miłować nasz katolicyzm i naszą polskość i przedstawić światu w całej ich piękności i mocy. Bo katolicyzm nie jest religią czysto indywidualną, lecz wpływa na naszą działalność społeczną, ustanawia zasady postępowania, zdolne ożywić organizm społeczny, jeżeli tylko będziemy umieli wlać weń strumień życiodajny.

Zet.

Dopisek redakcyi. Wysłowienie szan. Autora jest, wogóle mówiąc, potoczyste i poprawne, — gdzieniegdzie jednak nie dosyć jasne, jak n. p. w zdaniu (na str. 12 n.): „z uczuciem uległości... winniśmy przyjmować wszystkie jego wskazania wówczas nawet, gdyby się zdawało, iż one nie zgadzają się z naszemi zapatrywaniami" Co to znaczy: „gdyby się zdawało"? Mowa tu jest o takich wypadkach, w których rzeczywiście „wskazania" Kościoła nie zgadzają się z naszemi zapatrywaniami. Na str. 2 czytamy: „szukać je"; na str. 65: „Byłoby nadużywaniem samego siebie, gdybyśmy widzieli w tej kwestyi" i. t. d. zamiast: „byłoby to złudzeniem lub błędem". i t. d.

Maziarska Marya. **„U stopni ołtarza“.** (Sposób nawiedzania N. Sakr. z dodatkiem modlitw do mszy św., spowiedzi i komunii św. dla młodzieży szkolnej. Tłum. z niem.: „Kinder-Walser v. Fr. Fecht, z przedmową X. J. Ch. katechety. Str. 139 nakł. i druk. Z. Jelenia w Tarnowie. Cena 1 K 60 h.).

Wierny hasłu, pod którem rozpoczął swe rządy wielkiej pamięci Ojciec św., Pius X. „instaurare, omnia im Christo“, wezwał dzieci do wczesnej Komunii św. i do gorącej czci N. Sakramentu. W tem „Słońcu sprawiedliwości“ ma młodzież dojrzewać i przynosić owoce dobrych uczynków. Książeczka „U stopni ołtarza“, napisana po niemiecku przez wielkiego przyjaciela dziatwy, a przełożona przez uczenicę szkoły wydziałowej językiem gładkim i dla dziatwy łatwo zrozumiałym, ma zbliżyć młodzież do tego „Słońca“ i zapalić ją miłością ku Niemu. Treść nawiedzeń, zaczerpnięta z życia P. Jezusa, zwłaszcza zaś z Jego stosunku do dziatek i do nieszczęśliwych; a dostosowana do pojęć dzieci, trafia do duszy i pobudza do praktycznych postanowień. Szczęśliwie dobrane nasze pieśni eucharystyczne uzupełniają treść nawiedzeń i nadają im swojską cechę. — Modlitwy do mszy św., spowiedzi i Komunii św., bardzo piękne i praktyczne dla dzieci odpowiadają usposobieniu maluczkich, jakby płynęły z ich serca.

Książeczka gustownie wydana — jak wszystkie wydawnictwa księgarni Z. Jelenia — nadaje się na podarek przy I. Komunii św. lub na nagrodę pilności. Do nabycia w księgarni Z. Jelenia lub w „Polonii“ w Tarnowie po 1 K 80 h z przesyłką.

X. I. Cz.

Budujmy Polskę wewnątrz przez autora „Poznania i kształcenia charakteru“. Lwów 1907. Nakładem autora. Str. 86.

W broszurze tej pragnie autor: 1. „wykazać związek, zachodzący między obecną przebudową świata a wskrzeszeniem Polski“; 2. „ocenić dostojność naszego narodu, rozważyć jego niezwykłe przymioty, poruszyć jego cechy i określić jego znaczenie dla kultury europejskiej“; 3. „opisać słabe strony naszej psychiki narodowej i nieprawidłowość naszej kultury społecznej, które to czynniki utrudniają nam wykorzystanie naszych niezwykłych przymiotów, a kulturę czynią jednostronną“. (Przedmowa).

Ad. 1. Moralna atmosfera świata dzisiejszego była złą — bezbożną i bezduszną; życie zmechanizowało się i zmateryalizowało. To wszystko musiało wywołać katastrofę. Groza wojny otwarła człowiekowi oczy — duch budzi się i woła o prawa swoje, upomina się już nie o prawa człowieka, ale o prawa narodów. Na tem tle zrozumiałem jest ogólne zainteresowanie się Polską. Polska bowiem już w przeszłości była tem, czego pragnie świat od przyszłych dni, wskrzesza więc ją Bóg, by pomogła światu do odrodzenia się.

Ad. 2. Siła i wartość Polaka leżą w sercu, w jego duchowości. „Być Polakiem — to znaczy rozwiązać zadanie człowieka, stworzyć typ chrześcijanina na wzór człowieka wiecznego, który wzoruje się na Bogu i dąży wciąż do Niego“.

Ad. 3. By stworzyć Polskę naprawdę wolną i samodzielną, trzeba wychować samodzielność i niezależność Polaków: nauczyć ich pracy, poczucia odpowiedzialności nie tylko za każdy czyn spełniony, ale i za każdy grosz wydany, trzeba skierować tego Polaka na tory praktyczne, niech stanie się — w dobrem tego słowa znaczeniu — „dorobkiewiczem“. Tacy tylko ludzie potrafią uczynić naród naprawdę niezawisłym — ująwszy w swe ręce handel i przemysł, stworzą nam stan trzeci, który jest kręgosłupem nowoczesnego społeczeństwa.

Tego nam dotychczas brakowało; obcy się u nas dorabiali, a myśmy romantyzmem przesłonili sobie oczy.

Prócz przekształcania umysłowości i życia polskiego w kierunku praktycznym, starajmy się też o pogłębienie duchowości w sobie, o nabycie tych wielkich walorów moralnych, jakie podaje nam nauka Chrystusowa. Bądźmy ręką mocni, a sercem szlachetni.

Tak w ogólnych zarysach wyglądają poglądy autora. Broszura, dobrze napisana, podaje czytelnikowi dużo myśli, nad któremi rzeczywiście dziś w zaraniu nowego życia zastanowić się warto i trzeba.

X. F. B.

Apostolat. Von Moritz Meschler S. J. Erste und zweite Auflage. Mit Bild und Lebensabriss des Verfassers. (Gesammelte Kleinere Schriften, 7. [Schluss] Heft). 8° (X. i 136 str.). Freiburg 1917, Herdersche Verlagshandlung M 1·80; opr. 2·20 M.

Zmarły w r. 1912 (w 82 r. życia) X. Meschler jest słusznie ceniony wysoko jako pisarz ascetyczny. Polecaliśmy też już kilkakrotnie dzieła jego w G. K. (w szczególności Żywot Chrystusa Pana, książkę o Zielonych Świątkach i t. d.). Teraz dobrze zrobiono, że postarano się o nowe wydanie zbiorowe jego pism pomniejszych w 7-u zeszytach p. n. „Zum Charakterbild Jesu“ (1 Heft), „Leitgedanken katholischer Erziehung“ (2 H.), „Aus dem kirchlichen Leben“ (3 H), „Die seligste Jungfrau“ (4 H.), „Geistesleben“ (5 H.), „Aszese und Mystik“ (6 H.). Ostatni p. n. „Apostolat“ zawiera cztery rozprawy; 3 pierwsze („Eine wahre Grossmacht“ „Das Laienapostolat“ „Die Herz-Jesu-Andacht und die katholischen Männer“) mówią o działalności apostolskiej ludzi świeckich. „Prawdziwą potęgą“ nazywa autor katolika, który nie tylko wierzy, ale „z wiary żyje“ i szerzy ją słowem i przykładem, któremu też zaleca gorąco nabożeństwo do N. Serca Jezusowego, wykazując, że nie jest ono tylko nabożeństwem dla niewiast. W ostatniej rozprawie p. n. „Vom kirchlichen Zölibat“ dowodzi, że kapłan-apostoł powinien być wolny od więzów małżeńskich (czego nie chce uznać ruskie Towarzystwo św. Pawła!).

Na końcu dodano żywot autora, napisany bardzo dobrze przez X. Ottona Pfülfa S. J.

X. P.

Kilka słów w sprawie patronatu świeckiego.

(Z okazyi listu do Redakcyi Gaz. Kość. pomieszczonego w nrze z 18-go maja b. r.).

Pod datą podaną pojawiła się w Gazecie Kościelnej korespondencya, zwalczająca instytucyę patronatu świeckiego i wzywająca duchowieństwo do wystąpienia stanowczego przeciwko niej, jako przywilejowi, udzielonemu wprawdzie przez Kościół niektórym osobom za zasługi (o których pomówimy w dalszym ciągu), ale który stał się już szkodliwy i zgubny, a więc powinien i musi przestać istnieć. Cóż na to odpowiedzieć? Bo odpowiedź winno się dać koniecznie, list ten bowiem płonie wielkim zapałem, zawiera ogromną dozę dobrej wiary w słuszność stawianych żądań, mógłby więc niejednego pociągnąć, a przecież taka w nim nieznajomość prawa kościelnego wogóle, a przepisów prawnych o patronacie w szczególności, iż niepodobieństwem jest nie wytknąć tych błędów i przeoczeń.

Przedewszystkiem zadziwia nas sam pomysł autora. Wzywać duchowieństwo do walki choćby nawet z przywilejem tylko, ale z przywilejem udzielonym przez najwyższą w Kościele władzę prawodawczą, myśl to zbyt śmiała. Wszakże przywilejów, uznanych w całym Kościele, o ile gdzie tylko istnieją moralne warunki, przywilejów takich znosić nie może nikt, tylko ten, kto je nadał, względnie w mniejszym, czy szerszym zakresie przeciwne im prawo zwyczajowe. Ale pamiętać należy, że niższe organa prawodawcze nie mogą być twórcami takiego prawa zwyczajowego, nie mogą doń dawać impulsu, co najwyżej wolno im zająć stanowisko bierne i wyczekujące, a jeśli jakiś przywilej przeżył się, mogą robić przedstawienia stosowne w Rzymie, o ile się wyrodził i szkodę przynosi. Kler zaś, nie mający władzy prawodawczej, może czasem powinien zwrócić uwagę czynników miarodajnych na szkodliwość istniejących stosunków, ale nigdy nie wolno mu nawoływać do walki z nimi, a rzecz to tak jasna, iż musi twierdzeniu temu przyznać słuszność każdy, znający wewnętrzny ustrój Kościoła.

Autor listu nie roztrząsa prawnego zagadnienia, czy patronat świecki jest w czasach naszych zły, czy dobry, pożyteczny, czy szkodliwy — nie, on rozcina je tak apodyktycznie, jak gdyby sprawa ta nie dopuszczała zdania innego, jak gdyby tu chodziło jedynie tylko o przeprowadzenie wyroku już zapadłego, nieodwołalnego, a kasującego prawo patronatu świeckiego, jak gdyby apel jego do kleru, apel, wydany w imię obrażonej i poniżonej godności kapłańskiej, musiał osiągnąć niechybnie swój skutek, byle tylko znalazł oddźwięk i poparcie u powołanych do boju. Ale ponadto trzeba mu wytknąć błędy prawnicze, przejaskrawianie stron ujemnych patronatu świeckiego, fałszywe przedstawienie istotnego stanu rzeczy.

Przedewszystkiem postawmy sobie pytanie, czy patronat (tak duchowny, jak świecki) jest i obecnie jeszcze przywilejem i niczem więcej. Jeżeli mamy przed oczyma stosunki prawne dni naszych, odpowiedź brzmieć musi przecząco. Patronat jest prawem, przysługującem niektórym osobom, przywiązanem do niektórych posiadłości ziemskich. Rzecz inna, jeśli zapytamy, na jakiej drodze, w jaki sposób wytworzyło się to prawo (bez względu na jego naturę, patronatu duchownego, lub też świeckiego). Na pytanie postawione w ten sposób musimy odpowiedzieć, iż w zaczątkach swoich patronat opierał się na przywilejach, dodajemy atoli odrazu, że przywileje te zawsze nosiły piętno sobie właściwe, tj. nagrody za dobrodziejstwa świadczone Kościołowi i to za dobrodziejstwa ściśle określone, jak wybudowanie kościoła i wyposażenie, albo samo wyposażenie lub wybudowanie, albo za utworzenie nowej prebendy kościelnej, np. altaryi. Rzeczy tej nie omawiamy dalej, bo wybieglibyśmy za granice, naznaczone treścią tego artykułu.

Kościół z jednej strony chciał nagrodzić dobrodziejów, o których mówiliśmy, z drugiej zaś zachęcić innych do podobnych fundacyi. Jakaż nagroda spełniłaby najlepiej podwójne to zadanie? Odpowiedź była łatwa. Czyż fundator w znaczeniu powyżej określonem nie mógł, nie musiał przedewszystkiem pragnąć, by z owoców jego szczodrobliwości korzystali w pierwszym rzędzie ludzie mu blizcy, życzliwi, przyjaźni? Stąd też Kościół tych swoich dobrodziejów postanowił dopuszczać do brania udziału przy obsadzaniu beneficyów, przez nich dostatecznie wyposażonych, przy oddawaniu rządów kościoła przez nich wybudowanego i zaopatrzonego w dochody wystarczające; jeżeli zaś kto inny budował, inny naznaczał utrzymanie dla sług nowej prebendy, obydwaj na mocy przywileju uczestniczyli w przedstawieniu osoby, mającej spełniać posługi duchowne przy nowem beneficyum. Dotychczasowy sposób obsadzania posad duchownych w dyecezyi ulegał o tyle więc zmianie, że biskup (wogóle rządca danego terytoryum kościelnego) i nadal sam udzielał władzy do sprawowania czynności duchownych w całym podwładnym sobie okręgu, ale niektóre posady kościelne nadawał na przedstawienie osoby, posiadającej na to osobny przywilej. Dobrodziej więc (w znaczeniu określonem) poddawał kandydata na prebendę, nadawca zaś (biskup, wikary kapitularny etc.) po ocenieniu zdolności przedstawionego udzielał mu władzy potrzebnej i wprowadzał go w posiadanie prebendy. Przykład takiego przywileju znachodzimy w statutach synodu I. w Orange (441.): statut ten pozwala biskupowi, któryby własnym kosztem zbudował kościół w obcej dyecezyi, przedstawiać ordynaryuszowi kandydata, któremu ma być zwierzony zarząd tegoż kościoła. Tu, jak widzimy, biskup — fundator jest tylko patronem świeckim, gdyż o naturze patronatu nie stanowi i nie stanowił stan świecki, czy duchowny fundatora, ale okoliczność, czy fundacya powstała z majątku duchownego, czy też świeckiego, chociażby jego właścicielem był duchowny.

Z czasem przywileje te tracą tę cechę przywilejów: stałem następstwem fundacyi itd. prebendy jest prawo prezenty; przywilej staje się prawem zwyczajowem, przechodzi wreszcie w kodeksy prawa pisanego. Już teraz nie czyta się nigdzie o przywileju patronatu, ale o „prawie patronatu“.

Prawo to, jak każde dzieło ludzkie, może mieć i ma swoje słabe strony, ale czy są one istotnie tak niebezpieczne i groźne, jak chce w nas wmówić szan. J. T.? Już to samo, że Kościół prawo to utrzymuje w mocy, że go najprawdopodobniej nie usunie i z nowego kodeksu, jest rękojmią, że nie grozi ono ni duchowieństwu, ni ustrojowi kościelnemu. Przypatrzmy się tylko zarzutom, stawianym mu przez autora listu z 18/5., a uspokoimy się najzupełniej.

Tyle tylko jest prawdy w jego zarzutach, że patron świecki (ależ to samo, acz może w mniejszym stopniu, stosuje się do patronatu duchownego) krępuje nieco wolność biskupa przy rozdawaniu beneficyów, podlegających temu prawu. Ale ograniczenie to nie jest ani zbyt wielkie, ani zbyt niebezpieczne, w Austryi zwłaszcza i tam wszędzie, gdzie prawo trydenckie o konkursie nie jest wprowadzone z całą ścisłością, gdzie wszyscy, ubiegający się o probostwa (a o te beneficya chodzi X. J. T.), muszą się poddać egzaminowi, któryby stwierdził ich wiadomości, a przed obsadzeniem każdego probostwa rozpisuje kurya biskupia konkurs. Tam, gdzie obowiązuje prawo trydenckie o konkursie, biskup nadaje probostwo, podlegające patronatowi świeckiemu, kandydatowi, przedstawionemu przez patrona, bez rozpisywania wprawdzie konkursu, ale po odbyciu z przedstawionym egzaminu. W tym wypadku biskup, o ile egzamin wypadł pomyślnie, podlega ograniczeniu, nie ma wyboru. Ale egzamin, sumiennie przeprowadzony, może dać wystarczającą gwarancyę. Gdzie atoli prawu egzaminu konkursowego podlegają wszyscy, zabiegający o probostwo, bez względu na to, czy je nadaje biskup całkiem swobodnie, czy też na przedstawienie patrona świeckiego, lub duchownego (to ostatnie nie sprowadza zbyt wielkiej różnicy), ograniczenie to wolności biskupa jest bardzo nieznaczne.

X. J. T. żali się, że patron świecki (dlaczego on tylko?) nieraz nadaje probostwo komuś za to tylko, że gra dobrze w karty, lub, że posiada inne tym podobne przymioty (?). Ależ szan. obrońca wolności biskupiej musi wiedzieć, że biskup ma prawo skreślić z listy, przesyłanej patronowi, nie tylko kandydatów złych, ale choćby tylko nieodpowiednich, że może ich wprost na liście nie pomieścić, a że patron może wybierać tylko z pomiędzy wymienionych na liście, nie może podpisać prezenty choć by i najlepszemu przyjacielowi, gdy go biskup nie dopuści do ubiegania się o dane probostwo. A zresztą czyż i patron

duchowny, który winien pod nieważnością przedstawić tylko najgodniejszego, nie może za takiego w dobrej wierze nawet uznać nie bardzo godnego, a biskup czyż nie może takiej prezenty także z dobrą wiarą podpisać? To wystarczy, by na razie wykazać, o ile to możliwe w gazeciarskim artykule, że patronat świecki nie nakłada znowu tak nieznośnych i wielkich ograniczeń biskupowi, że nie odbiera mu wszelkiej swobody przy nadawaniu prebend podlegających prawu prezenty patrona świeckiego.

A teraz jeszcze jedna sprawa, w której autor zdaje się mieć słuszność, przynajmniej po części: to poniżanie godności kapłańskiej, kłanianie się patronowi świeckiemu o probostwo, to zabieganie itd. itd. Fakta takie się zdarzają, to prawda, niestety, niezbita, ale pytanie, po czyjej stronie wina, a przynajmniej znaczna jej część. Dziwić się chyba nie można, że patron, mający mieć w przyszłości z proboszczem tysiączne stosunki, stara się go wprzód poznać jak najdokładniej, nim mu podpisze prezentę. Pragnie go widzieć, wzywa go do siebie, bo kiedy kandydatów dużo, trudniej jemu ich wszystkich objechać, jak każdemu z nich jemu się przedstawić. Ale że księża kłaniają się nazbyt nizko, że podają prawie oferty w formie zapewnień, obietnic, zaręczeń, że iść będą zawsze na rękę p. dziedzicowi, to już ich rzecz: patron tego nie wymaga, wymagać nie może, a jeżeli czegoś podobnego żąda, sam sobie wystawia świadectwo ubóstwa umysłowego. Nie patron jest głową parafii, tylko pleban, patron zaś powinien być tylko najgorliwszym parafianinem i z troski o dobro parafii winien starać się poznać tego, kogo ma przedstawić władzy dyecezyalnej na duszpasterza. Prawo ściśle określa prawa i obowiązki patrona; proboszcz powinien znać je równie dobrze, jak kolator i zaraz przy zawiązaniu znajomości zaznaczyć, że za granice prawem nakreślone ani sam nie przejdzie, ani przejść nie pozwoli nikomu. Tem zyska szacunek u człowieka rozumnego, nad nierozumnym może ubolewać, ale raczej powinien zrzec się probostwa, aniżeli pozwolić uchybić godności stanu kapłańskiego. Tyle na ostatnie zarzuty X. J. T.

Pewne zmiany w dotychczasowem prawie może są pożądane. Patronat świecki, przywiązany do posiadłości, może rzeczywiście już nie na czasie, zwłaszcza od czasu, kiedy innowiercy zakupują majątki ziemskie, biorąc ciężary patronatu, a nie otrzymując praw zaszczytnych i korzystnych. Ale patronat dziedziczny, przechodzący z ojca na syna od pierwszego fundatora, powinien utrzymać się w całej pełni. Wymaga tego prosta wdzięczność, okazywana ojcom w synach, wymaga tego dobrze zrozumiany interes własny. Korzystać z dobrodziejstw, a nie odpłacać się za nie wedle możności, to sposób najlepszy do odstręczenia od świadczeń na rzecz Kościoła. Z tem liczyć się trzeba, teraz bardziej, niż kiedykolwiek.

X. St. Wysocki.

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

Podaje się do wiadomości XX. Katechetów, że d. 12-go b. m. J. E. X. Arcybiskup Bilczewski będzie udzielał *Sakr. Bierzmowania* uczenicom szkół żeńskich w kościele PP. Klarysek o godzinie 4-tej po poł., a 13-go b. m. uczniom tamże, również o 4-tej. Każdy z XX. Katechetów zechce podać przed tym dniem X. Sekretarzowi Chwirutowi liczbę uczniów, którzy mają przystąpić do Bierzmowania.

Dnia 6-go b. m. wybrał Wydział Zw. Kat. sekretarzem Związku X. Dra B. Szulca, kat. gimn. VI., w miejsce X. Kanonika K. Dziurzyńskiego, któremu złożono serdeczne podziękowanie za długoletnią, pełną poświęcenia działalność na tem stanowisku. Skarbnikiem Związku wybrany X. Andrzej Kosztyła, katech. szk. wydz. m. imienia Kordeckiego w miejsce X. J. Janusiewicza, który złożył ten urząd z powodu nadmiaru pracy.

Dnia 13-go p. m. będzie mówił X. Dr. Szulc o ostatnim zjeździe naucz. szk. wyższych w Krakowie; — poczem pogadanka o sprawach aktualnych i posiedzenie Wydziału.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac.

Administracyę parafii w Dzikowie starym powierzono X. Antoniemu Kroczykowskiemu, prob. z Budyłowa.

Urlop na przeciąg jednego roku otrzymał X. Franciszek Kulczycki, były administrator w Skolem.

Dyeczya krakowska.

Zmarł X. Jakób Zych, prob. w Rabce, w 75 r. życia, a 45 r. kapł. — *R. i. p.*

Dyecezya przemyska.

Zmarł X. Dr. Władysław Kochowski, prałat domowy Ojca św. kanonik grem. kapituły przemyskiej, rektor hospicyum polskiego w Rzymie, w 45 r. życia, a 22 r. kapł. — *R. i. p.*

Dyecezya tarnowska.

Instytuowani XX.: Walenty Mucha, administrator w Łuszowicach, na prob. tamże; Józef Stabrawa, eksp. w Woli rzędzińskiej, na prob. w Mszanie dolnej.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.